Alleluja.

Białystok. Wielkanoc 1912 roku. Cena 4 kop.

AL[illegible]UJA!

JEDNODNIÓ[illegible]KA

Alleluja!

„A oto się stało wielkie drżenie ziemi (rankiem w dzień Paschy).

„Albowiem Anioł Pański zstąpił z nieba: i przystąpiwszy, odwalił kamień i siedział na nim.

„A było wejrzenie jego jako błyskawica: a odzienie jego jako śnieg.

„A od bojaźni jego stróże przestraszeni są, i stali się jakoby umarli.

„A pierwszego dnia Szabatu bardzo rano Marya Magdalena, i Marya Jakóbowa, i Salome przyszły do grobu, niosąc wonne rzeczy, które były nagotowały. I mówiły między sobą:

— „Kto nam odwali kamień ode drzwi grobowych?".

Przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. A spojrzawszy, obaczyły odwalony kamień, chociaż był bardzo wielki. A wszedłszy w grób, nie znalazły ciała Pana Jezusa.

A oto Anioł rzekł do nich:

— „Nie bójcie się wy, bo wiem, iż Jezusa szukacie Nazareńskiego, ukrzyżowanego: co szukacie żyjącego między umarłymi?

Niemasz Go tu, albowiem powstał, jako powiedział. Chodźcie a oglądajcie miejsce, gdzie był położony Pan.

Wspomnijcie jako wam powiedział, gdy jeszcze był w Galilei, mówiąc:

— „Iż potrzeba, aby Syn Człowieczy był wydan w ręce ludzi grzesznych, i był ukrzyżowan: a trzeciego dnia, aby **Zmartwychwstał.**

— „A prędko idąc, powiedzcie uczniom Jego i Piotrowi, iż powstał.

A wyszły prędko z grobu, z bojaźnią i z radością wielką bieżąc, aby opowiedziały uczniom Jego.

A oto Jezus spotkał się z niemi, mówiąc: „Bądźcie pozdrowione:

A one przystąpiły i ujęły nogi Jego i pokłon Mu uczyniły.

Według Ewang. św. Mat. roz. 28, 1—9.



W procesyi rezurekcyjnej. Rys. J. Ryszkiewicza.

Alleluja! Biją dzwony
Głoszą światu wszerz i wzdłuż,
Że Zbawiciel pogrzebiony
Już zmartwychwstał dzisiaj, już!

Alleluja! Chryste Panie!
Tyś zwycięzcą dziś się stał
I przez swoje Zmartwychwstanie
Nam nadzieję nieba dał.

Alleluja! Zmartwychwstanie
To tryumfu Zbawcy dzień;
I ty człecze przez powstanie
Z grzechu duszę w czystą zmień.

Alleluja! Chwalcie Pana!
Niech wesołem pieniem lud
Wielbi Boga i od rana
Zmartwychwstania głosi cud!

Alleluja! Pieśń wesoła,
Niechaj z każdej piersi brzmi,
I niech smutku nie zna zgoła
Wierne serce, Boże, Ci!

Es. Ez.

Zmartwychwstanie.

Z brzaskiem pierwszej gwiazdki na firmamencie niebieskim śpieszą ludzie na nabożeństwo solenne — na Rezurekcyę.

Jeszcze północ, a już z trudnością można przecisnąć się do świętego Grobu. Wreszcie wspaniała świątynia zapełnia się modlącymi i za chwilę rozpocznie się radosna uroczystość.

Wtem tłumy zaszumiały, zachwiały się, niby złote łany wiatrem gnane.

Ksiądz dziekan wyszedł z nabożeństwem.

Po chwili z monstrancyą w ręku, odwrócony do ludu, śpiewał:

„Wesoły nam dzień dziś nastał!.."

Zadzwoniły dzwoneczki głosy anielskimi, zabrzmiały organy, zahuczały dzwony, a z tysiącznych piersi, jako jeden głos wyrwało się potężne, dusze wstrząsające:

„Alleluja!.."

Ludzie falą ruszyli za kapłanem. Kościół pełen majestatu, a każda twarz jaśnieje ci radosna, jak słońce, a taka rozśpiewana, rozmodlona, niby samo niebo nagle obaczyła, bo z piersi wyrywa się aż ku niebu hymn Zmartwychwstania:

„Piekielne moce zwojował,
„Nieprzyjaciele podeptał
„Alleluja, Alleluja, Alleluja".

Charakter wyłączny nosi na sobie dzień dzisiejszy. Chociaż ziemia jeszcze objęta chłodem zimy, pierś jednak cichem, świętem rozgrzewa się weselem.

Serca znękane smutkiem, głowy pochylone boleścią, podnoszą się, jakgdyby niebieskiem ożywione tchnieniem.

Na oku zamiast łzy cierpienia, widna tylko łza rozrzewnienia.

Cichną namiętności, w serca wstępuje radość, dusze podnoszą się ku Bogu, bo Zmartwychwstanie Chrystusa Pana jest zmartwychwstaniem całego człowieczego rodu, tryumfem prawdy.

Smutny widok przedstawiały dzieje świata przed Zmartwychwstaniem. Przypatrującego się im zblizka, tak przykre ściśnie uczucie, że serce jego jękiem zapłacze.

Z pochodnią wśród dnia białego, będziesz szukał wolnych—wszędzie tylko niewolników napotkasz, co skuci tysiącami całemi srogą właściciela swojego dłonią, przepłakują dzieciństwo, młodość, dojrzałość, płacząc kładą się w groby.

Niewiastę wszędzie i zawsze poniżoną, przygnębioną zobaczysz. To branka, niewolnica. Tak rzewności i poświęcenia pełne powołanie matki od pęt jej nie broni.

A nadto, w ciągu owych lat tysięcy, próżno będziesz upatrywał ojca sierocie;—próżno będziesz pytał o opiekuna kalece i choremu;—próżno zechcesz ujrzeć wsparcie ubogiemu,—próżno nieszczęśliwemu otuchy, próżno bezprawiom hamulca.

Jeśli wśród tej ponurej i łzawej ciemni spotkasz gdzieś migocące swobodnie radości światełko, i pobiegniesz popatrzeć nań zbliska—musisz ze wstrętem odwrócić oczy... bo je pożerać będzie gryzący dym zmysłów...

Tak! łzy... błoto... niemoc... oto treść wieków przedchrystusowych.

Ze zmartwychwstaniem Chrystusa zmartwychwstaje ludzkość do nowego życia.

Chrystusa dłoni zawdzięcza ludzkość, że jest wolną od więzów niewoli... Jego nauce winna, że ludzie bliźnimi i braćmi się zowią. Jego Ewangelii, tej dobrej nowinie obowiązana, że chociaż może i bardzo źle jej na ziemi, ale ma pewność nieba, gdzie płaczu nie będzie.

Patrzmy... gdzie jeszcze *nie rozbrzmiewa* hymn na cześć Zmartwychwstałego, tam jeszcze ciemno... tam srogo, tam dzieje ludzkie wloką się jak dawniej.

Patrzmyż jeszcze... gdzie ten głos w piersiach ludzi *ustaje*, gdzie z cicha, obojętnie, bez pewnej żywej wiary dźwięczy, tam może znajdziemy dużo dziwnych rzeczy, ale wśród nich brak rozumom jasności, brak sercom ciepła, brak obyczajom zacnego hartu, tam zbywa na szlachetnej potędze woli.

A przeciwnie, patrzmy... gdzie Zmartwychwstały tryumfuje, gdzie mu tkliwiej, pobożniej, z większą czcią, pokorą i wiarą nucą „Alleluja", tam jaśniej, tam rzewniej, tam wszystko po bratniemu, tam rozum niewiadomość oświeca, tam serce serca ogrzewa, tam moc i potęga służy, aby słabość dźwigać, nieszczęściom zaradzić, moc złego powściągnąć, królestwo prawdy, sprawiedliwości, miłości wszędzie rozlewać.

Zmartwychwstanie Chrystusa stało się tryumfem prawdy.

Wielki smutek musiał być uczniów i tych co miłowali Chrystusa i słowom jego wierzyli, skoro ujrzeli go pojmanego, skrępowanego, ukrzyżowanego. Smutek ich był tem większy, że splatał się ze zwątpieniem.

Sprawiedliwy był, o sprawiedliwości Boskiej nauczał, a jednak niesprawiedliwość zatryumfowała.

Cuda czynił, wielkie, głębokie słowa mówił, a jednak nie uratował Go Bóg od śmierci haniebnej na krzyżu. Umarł a nas zostawił samych, by się nad nami natrząsali.

Mówił, że zmartwychwstanie dnia trzeciego, ale kto wie, czy się nie łudził.

I oto ludziom „małej wiary" nie wystarczała sama nauka, nie wystarczały cuda liczne, jawne, — im trzeba było zmartwychwstania.

Więc po trzech dniach dał Jezus świadectwo Prawdzie: zmartwychwstał.

Od tej chwili poszli w świat za Apostołami miliony chrześcijan głosić słowa Prawdy Chrystusowej, ufni w jej zwycięztwo.

Nowa nauka dla całego świata stała się nauką Boską.

Dzień Zmartwychwstania, to dzień zwycięstwa wiary nad zwątpieniem.

Chrystus po trzech dniach zmartwychwstał, rozproszył ciemności i dał świadectwo Prawdzie.

Radość złych i przewrotnych trwała dni trzy, również tyle trwał smutek dobrych i szczerych.

Radość złych i przewrotnych może trwać długo, również długo może trwać smutek szczerych i dobrych.

Ostatecznie jednak Chrystus zatryumfuje, ciemności rozproszy i potwierdzi zawartą w nauce swej Boskiej Prawdę.

Wierzmyż więc w ostateczny tryumf Prawdy. Wiara w ten ostateczny tryumf winna szczególnie krzepić serca wiernych synów Kościoła przy uroczystej pamiątce Zmartwychwstania. *Ks. A. Ch.*



Białystok.

Najpiękniejsze ze wszystkich miast prowincyonalnych w gubernii — pełne powietrza i zieleni — najodpowiedniejsze, ze względu na pięć ogromnych swoich placów, do wznoszenia upiększających miasto gmachów publicznych, najważniejszy punkt przemysłowo-handlowy — Białystok, ze stotysięczną prawie ludnością, pozostaje w zupełnem zaniedbaniu, pod względem zdrowotnym, estetycznym i ogólno-cywilizacyjnym.

Założony przez Gedymina w r. 1310 bywał z kolei własnością możnych rodów polskich: Ostrogskich, hetmana Stefana Czarnieckiego i Wiesiołowskich. Pod koniec XVIII wieku służył za rezydencyę hetmanowi Klemensowi Branickiemu, od roku zaś 1794 do 1807 pozostawał pod rządem pruskim. W herbie swoim ma Orła Białego i Pogoń Litewską. Traktatem Tylżyckim, w roku 1807, przeszedł z powrotem pod panowanie Rosyi i w r. 1809 został miastem głównem Białostockiego obwodu, a po skasowaniu w r. 1842 onego obwodu, wcielony został do gubernii Grodzieńskiej jako miasto powiatowe.

Zabytków przeszłości posiada niewiele, lecz z charakterystycznem piętnem ubiegłych stuleci.

Monumentalny, wzniesiony w stylu Ludwika XVI, b. pałac Branickich, pałacowa brama pod Gryfem, sympatyczny prostotą swych linii b. klasztor Szarytek (dziś dom dochodowy Towarzystwa Dobroczynności), utrzymany w stylu barocco, dwa starożytne kościoły: z roku 1617, dawniej ks. Misyonarzy, ufundowany przez Wielkiego Marszałka W. Księstwa Litewskiego, Piotra Wiesiołowskiego — i z roku 1772, na cmentarzu św. Rocha; b. klasztor tychże ks. Misyonarzy (obecna plebania). Wieża ratuszowa (obecnie strażnica straży ogniowej), na rynku — magistrat, szkoła realna, w stylu empir, szkoła męska handlowa (b. dom Moesa), w stylu renaissance, i trzy domy stylowe: Kempnera, obok kościoła, Frysza (obecnie Literera) i narożna, przy zbiegu ulic Wasilkowskiej i Bazarowej, apteka — oto wszystko, co wpada w oko widza objawem architektonicznego piękna i ideowem wspomnieniem przeszłości!

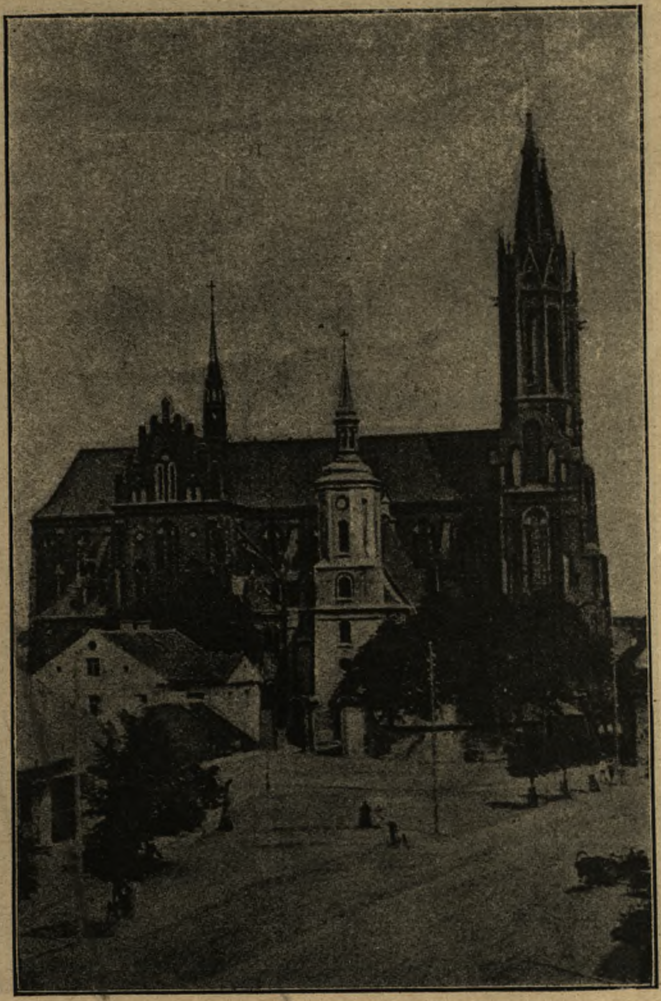
Reszta budowli nowszych, to karygodna tandeta. Wyjątki stanowią: gmach banku państwa (oddział) i poczta, ale nie mając ani perspektywy, ani odpowiednich przed sobą placów, ozdoby miasta nie stanowią.

Po za obrębem tej krytyki ujemnej stoi, wzniesiony 11 czerwca 1900 roku, przepyszny kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi. Zbudowany z czerwonej cegły, w stylu ślicznego gotyku, przez budowniczego Józefa Dziekońskiego z Warszawy, jest najpiękniejszym z nowszych kościołów katolickich, w szerokim promieniu dokoła!

Najświetniejsze czasy Białegostoku były za rządów ostatniego jego właściciela, hetmana Klemensa Branickiego, który ożeniony z rodzoną siostrą króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, i mając ogromne wpływy w kraju, znaczenie i bogactwa, starał się o przyozdobienie swej rezydencyi, tembardziej, iż jako ambitny magnat, marzył o koronie polskiej. Piękny opis tej rezydencyi znajduje się w znanej powieści J. I. Kraszewskiego, „Grzechy Hetmańskie". Wspomnę tu tylko, iż pałac otoczony był kanałami, (po zasypaniu których, założono dzisiejszy ogród miejski) i zwierzyńcem pełnym łosiów, jeleni i dzików, przeznaczonych na łowy. W lasku tym, zwanym po dziś dzień „Zwierzyńcem", publiczność miejska używa spacerów.

Z racyi owej świetności Białegostoku, przebywali tu czasowo: Cesarz Paweł I, król francuski, Ludwik XVIII, w przejeździe do Mitawy i cesarz austryacki, Józef II, powracając z Petersburga. W ubiegłem stuleciu pałac ten został kupiony za cały milion rubli przez Cesarza Mikołaja I, z oddaniem go na obecnie istniejący Instytut Panien.

Dzięki temu, iż zapoczątkowane przez Branickiego sprowadzanie z zagranicy i osadzanie zdolnych rękodzielników i tkaczów szło pomyślnie—Białystok, z upływem czasu stał się miastem przemysłowców. Mnóstwo poważnych firm niemieckich: Moesów, Komichauw, Fryszów, Filipów, Pinaglów i wiele innych, pozakładało tu fabryki sukiennicze, przędzalnie, farbiarnie, dając impuls do rozwoju przemysłu tkackiego. Obecnie firmy niemieckie, z wyjątkiem Moesa i Komichauw, upadły i cały przemysł wełniany przeszedł w ręce żydów: z chrześcijan, właściwie, z pracujących tu Polaków, nikt nie zabiera się do zbudowania i prowadzenia, chociażby jednej polskiej fabryki sukien, bez względu na to, iż w przeciągu stu lat, tutejsza rdzenna ludność polska robotnicza, na rozwój miejscowego przemysłu oddaje pot swojej pracy i geniusz swojego bezimiennego talentu. Obca siła wytwórcza, opierając się właśnie na tym elemencie roboczym, coraz więcej rozwija ów przemysł, szukając rynków zbytu nietylko w kraju, lecz i poza granicami: w Austryi, Rumunii, Turcyi, Persyi, a nawet Chinach. Przemysł ten i handel, czerpiąc kapitał obrotowy w 10 tutejszych bankach i mając na swych usługach liczną armię ajentów, ekspedytorów i komiwojażerów, zbiera obfity plon, w postaci kapitałów i dobrobytu, zabezpieczających byt materyalny przemysłowców i fabrykantów. Robotnicy zaś, po za zapłatą zarobków, są zaniedbani. Nie mają ani szkółek początkowych, ani szkół rzemieślniczych, ani kas zaliczkowo-pożyczkowych, ani przytułków, ani szpitali, ani ochronek, nie mówiąc już o instytucyach kulturalno-społecznych.



Kościół w Białymstoku pod wezwaniem N. M. P.

To też, dzięki manifestowi 17 października 1905 roku, w Białymstoku powstało Stowarzyszenie Robotników Katolickich, mające na celu umoralnienie i samopomoc materyalną klas pracujących. Pierwszym inicyatorem tego stowarzyszenia i jego pierwszym prezesem był niezapomniany w sferach robotniczych. ś. p. Julian Tryburski, zamordowany 23 października 1909 roku, przez pięciu dotąd niewyśledzonych skrytobójców.

Stowarzyszenie owo liczy już około 700 członków, ma swoją orkiestrę i rozwija się pomyślnie—religijnie i materyalnie. Godnym i gorliwym następcą po zmarłym prezesie, jest p. Antoni Minkiewicz. Patronem zaś—ks. Jerzy Andrukonis.

Obecny ogólny wygląd miasta — okropny!

Fronty domów nieodpowiadające liniom ulic. Ulice brukowane źle. Chodniki nędzne. Wodociągi opłakane i nie rozgałęzione po całem mieście. Tramwaje mizerne i dotąd jeszcze konne. Oświetlenie elektryczne (105 lamp łukowych i 1,772 lamp żarowych), niedostateczne i słabe. Ozdoba zaś miasta, przepływająca jego środkiem rzeka Biała, wbrew wszelkim prawom zdrowotności publicznej, zamieniona w otwarty kanał fabrycznych, trujących powietrze ścieków! Miasto przystąpiło już do budowy rzeźni miejskiej (za Żółkowską szosą), oddawszy prowadzenie robót za 96,000 r. niemieckiej firmie Langelot, a w niedalekiej przyszłości zamierza zaprowadzić kanalizacyę miejską. W każdym razie kwestya rzeki Białej już zdecydowana. Będzie ona i nadal urągać miastu, ziejąc z siebie, zamiast wód ożywczych — trujące wyziewy. Nie prędko też doczeka się miasto pożądanego pięknego wyglądu. Domy, po dawnemu, budują się krzywe, brzydkie, bez żadnej symetryi, a niekiedy pośrodku ulic. Przepiękne rynki miejskie szpecą się naprędce skleconemi budami. O wprowadzeniu do budowli miejskich architektonicznego piękna zewnętrznego — niema jeszcze mowy. Pięknym pod tym względem wyjątkiem jest wznoszący się tu obecnie nowy kościół Ewangelicki.

Bez względu na te widoczne strony ujemne, Białystok ma swoje i dodatnie objawy.

W pierwszej linii idą szkoły. Miasto posiada 44 różnych typów zakłady naukowe rządowe i prywatne kursy handlowe profesora Maryana Korycińskiego i kursy muzyczne p. Werderewskiej. W szkołach tych wykłada 103 nauczycieli, z których Polaków 6, i uczy się 8,017 uczniów płci obojej, z których Polaków 1,000. Język polski wykłada w szkole realnej i gimnazyum żeńskiem doktorowa Zofia Ostromęcka, a w szkole handlowej męskiej posada lektora języka polskiego wakuje. W ubiegłym roku szkoły średnie rządowe ukończyło Polaków: w Instytucie panien, Szkole realnej 6, szkole handlowej męskiej 8. Do wyższych uczelni udali się uczniowie Polacy: do politechniki lwowskiej 2, do Dublan 1, do Liége (Stępniewski), do akademii leśnej w Tabor (Czechy) (Granowski i Ellert) i do politechniki w Pradze czeskiej (Czepułkowski i Kaczyński.

Religia rzymsko - katolicka we wszystkich zakładach naukowych dla uczniów (Polaków), wykłada się po polsku.

Oprócz tego Białystok posiada przeszło 50 zakładów społecznych, dobroczynnych i kulturalnych (przeważnie żydowskich), 9 rozmaitych banków i towarzystw kredytowych, jedną publiczną bibliotekę, z działem polskim, dwie księgarnie polskie, Jadwigi Klimkiewiczowej „Księgarnia Polska" i Anny Czapskiej „Marya", oraz kilka rosyjskich, niemieckich i żydowskich. Czytelnictwo gazet, drogą prenumeraty i w kolportażu za rok 1910 wyraziło się w następujących cyfrach: polskich broszur 137, pism postępowych 88, gazet i tygodników zachowawczych 756, razem 981 egzempl.; rosyjskich — postępowych 579 i wstecznych 118 — razem 597 egz.: żydowskich — 2176 egzemplarzy.

Fabryk, z siłą roboczą od 100 do 726 (F. Nowika) ludzi naliczamy 27 z 4,000 robotników: mechanicznych warsztatów 70 — z 350 robotnikami i 144 składy sukna. Główne firmy reprezentują: Moes, Herbst, Rychter, Nowik, Branek i Fos, Komichau i Flakert.

Domów posiada miasto 1958, w tej liczbie w ręku żydów 1145, ulic 207, placów 5.

Niniejsza tablica wskazuje stosunek procentowy co do narodowości, zajmowanych przez mieszkańców wolnych zawodów.

	Polaków	Rosyan	Żydów	Razem
Lekarzy	8	4	21	33
Dentystów	—	—	15	15
Masażystów . . .	—	—	3	3
Akuszerek	—	4	31	35
Adwokatów przysięg.	2	1	1	4
Obrońców prywatn. .	3	—	5	8
Aptekarzy	3	—	3	6
Właścicieli sklepów aptecznych . . .	4	—	19	23
Fotografów	1	—	4	5
	21	9	102	132

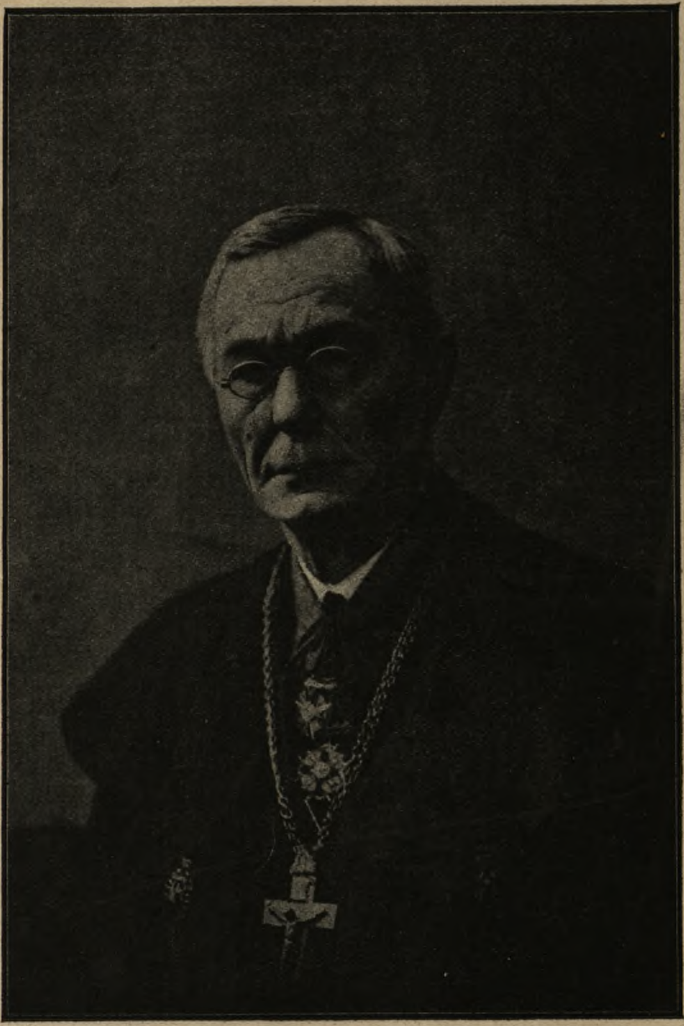
Białystok zabudowany nad dopływem Supraśla, rzeką Białą, leży pod 53 stopniem szerokości geograficznej, wzniesiony jest nad poziom morza o 134 metry. Klimat ma morski, glebę piasczystą, otoczony jest mokradłami, wilgotnymi torfowiskami i dużymi lasami jodłowymi.

Magistraturę miejską reprezentuje na prawach samorządu zarząd miejski z radą miejską.

Długoletnim prezydentem miasta był kilkakroć obierany p. Malinowski, obecnie zaś rządzi miastem p. Dyakow. Członkami zarządu są: Józef Puchalski, Stanisław Wiśniewski i Franciszek Gliński. Roczny budżet miejski zamyka się w sumie 300,000 rubli, z których na cele oświatowe asygnuje się 6%. Mieszkańców Białystok ma 81,502 (Kalend. Adresowy gub. Grodz.), z których Żydów 50,000, Polaków 20,000, Rosyan 10.000, Niemców 2,000.

Kończąc ninıejszy pobieżny opis Białegostoku, zastrzegam się iż nie stanowi on opisu lub monografii wyczerpującej. Materyały do pracy mojej czerpałem z Encyklopedyi Powszechnej Orgelbranda i niektóre cyfry statystyczne, z kalendarza p. Krola na rok 1912 dla Białegostoku.

Gustaw Jóżwikiewicz.



Ks kanonik Szwarc, dziekan białostocki.

O mowie ojczystej.

Nasz język ojczysty powstał nie od dziś lub wczoraj, to najdawniejsza i największa spuścizna, jaką nam zostawili nasi przodkowie. Od X w. począwszy mamy już zabytki naszego piśmiennictwa, setki tysięcy książek naukowych, wspaniałą i przebogatą literaturę, na której kształciły się całe pokolenia, dzieła naszych sławnych autorów, znanych i cenionych na całym świecie i pierwszą pieśń naszą „Bogurodzica". Wiele, wiele lat i wieków temu ludzie w tym języku modlili się, prosili i skarżyli, z pieśniami na ustach szli na boje, umierali lub zwyciężali, okrywając chwałą imię oręża naszego. Każdy prawie naród ma swoje pamiątki historyczne: stare pałace, kościoły, pamiątki, o które dba, kocha i ceni. Otóż taką pamiątką i spuścizną, tylko cenniejszą od wszystkich gmachów i pomników, jest język ojczysty, spuścizną nie jednej lub kilku osób, a milionów ludzi nam drogich, przez nas kochanych, którzy w nim przekazują nam swe myśli i uczucia, całą swą duszę.

W języku ojczystym słyszy dziecię pierwsze słowa matki, jej pieszczotę, marzenia o jego przyszłości; w tym języku powtarza ta nią pierwsze słowa modlitwy, wypowiada swe myśli nieudolne, chęci i prośby, przy dźwiękach tej mowy uczy się poznawać świat i ludzi, czuć i kochać.

Mowa ojczysta jestto ta złota nić, która się wije przez całe życie człowieka i na której on splata swe najgorętsze marzenia, nadzieje, chęci i pragnienia..... Mowa ojczysta, to te pieśni żniwiarzy, pracujących w pocie czoła na złotych łanach naszych pól.... to cicha smętna melodya fujarki, rozlegająca się nad brzegiem ruczaju.... to błogosławieństwo umierającego ojca nad schyloną głową dziecięcia.... to wielkie słowo przebaczenia i miłości w chwilach najszlachetniejszych naszych uniesień....

W języku ojczystym wyrywa się nam krzyk bólu i rozpaczy, ciche westchnienie rezygnacyi.

Najgłębsze nasze myśli, marzenia, skargi i prośby, najwznioślejsze uczucia, najlepsze i najgorsze chwile życia, wszystko to ściśle związane z mową ojczystą.

Przy jej dźwiękach rodzimy się i umieramy.

Ona jest naszą spójnią, niewidzialną nicią, łączącą nas rozrzuconych po całym świecie, w jedną wielką rodzinę, na jej dźwięk nieznanemu człowiekowi mówimy „bracie"; ona nas wyodrębnia od wszystkich innych ludzi, ze łzami w oczach rzuca sobie w objęcia na obczyźnie, do niej się tęskni... o niej się marzy....

Biedny, bardzo biedny ten człowiek, który jej nie zna lub znać nie chce, biedniejszy stokroć od każdego zwierzęcia, które posiada swą mowę i zna ją. Człowiek taki nie ma swej narodowości ani ojczyzny, on jest dla wszystkich i wszędzie obcym, nie zrozumie swego rodaka, nigdy w nim nie rozbudzi szlachetnych, gorących uczuć — mową obcą serc ludzkich nie wzruszy,—nie jest on obywatelem swego kraju, bo go nie zna i nie rozumie, jest jak liść oderwany i samotny, obcy przeszłości, daleki teraźniejszości, jak wieczny tułacz bez kąta i dachu.

Ale mało jest znać język ojczysty, trzeba go ukochać i o niego dbać. Oburzają nas do głębi ludzie, którzy nie szanują historycznych pamiątek, nazywamy ich barbarzyńcami, ludźmi bez serca, a sami często popełniamy stokroć gorsze przestępstwo nie dbając o czystość, poprawność i piękność tej największej i najdroższej pamiątki — mowy ojczystej. Nie zastanawiamy się nad wartością skarbu, który posiadamy, niedoceniamy go i wyrządzamy mu tem bolesną i wielką krzywdę. Iluż to ludzi przez taką lekkomyślność lub niedbalstwo kaleczy swój język ojczysty, nie stara go się poznać, nauczyć, ukochać. A język nasz przetrwał wieki i przeżył wiele: pamięta lata siły i sławy, niewoli i krzywd, był chwałą swego narodu, a w najboleśniejszych chwilach jego podporą, otuchą i nadzieją, przy jego dźwiękach łatwiej się znosiło krzywdy i bóle i chętniej wierzyło w promienną, jasną przyszłość. I przejdą długie, długie wieki a on zostanie niewzruszony, nie zniszczą go wichry, burze, huragany i zawieje ani też złość ludzka, bo nie z granitu on i kamienia a z myśli i uczuć ludzkich, bo zawiera w skarbcu swoim gorące łzy i krew, ból i rozpacz i wielkie, święte słowa prawdy i miłości. Więc i my powinniśmy i musimy ten skarb kochać, chronić i czysty, piękny, nieskalany przekazać naszym potomkom.

Z. O....

Bądźmy ostrożni!

(Niby felieton).

Normalny rozwój społeczeństwa zależny jest od umiejętności członków jego zrzeszania się, od ich wytrwałości w pracy, w zwalczaniu przeszkód, od solidarności i zgodności w działaniu, od ich cnót obywatelskich jednem słowem.

Zwiększone w swoim czasie tętno życia społecznego, znalazło i u nas, w Białymstoku, obok pracowników pożytecznych i dzielnych, oddanych sprawie umiejętnie i szczerze, czyli obok, że tak powiem, zdrowego ziarna, — niestety wiele zielska, kąkoli i chwastów, które zamiast pożytku nieobliczalną szkodę jedynie przyniosły i przynoszą jeszcze obecnie.

W pracy społecznej nie wystarcza bowiem jeno chcieć, mieć dużo ambicyi, zarozumiałości, nie dawać nikomu nigdy w niczem przyjść do słowa, do czynu, być aroganckim i czelnym.

Trzeba przedewszystkiem z tego swego chcenia zdawać sprawę jasno i zestawiać je z ideałami, tradycyą i dążnościami całego społeczeństwa, całego narodu. Nie pchać się natrętnie naprzód, nie przebierając w środkach, lecz wiedzieć potrzeba do czego ma się dążyć i jakiemi iść należy drogami. Trzeba znać swe społeczeństwo i... być znanym i uznanym wzajemnie!

Tak. Powiedzieć sobie, iż od dzisiaj będę działaczem społecznym i usiłować nim być po swojemu, pchając się naprzód przy pomocy jedynie łokci i języka, — za mało.

A dzięki to takim właśnie „działaczom", o których do niedawna nikt nigdy nie słyszał, nikt co zacz są, jaką ideę wyznają i skąd przychodzą nie wiedział, owoców pracy społecznej narodzonej, których nikt jeszcze nigdy i nigdzie nie oglądał najczęściej, — jedne, olbrzymiej pożyteczności i znaczenia, z trudem i mozołem do życia u nas powołane, stowarzyszenia znikły już z horyzontu, niestety, inne, żywot suchotniczy wlokące, tenże koniec oczekuje niedługo.

„Działacze" tacy to plaga, to straszni szkodnicy, robotę których należy raz przecie, w imię dobra publicznego, zdemaskować, sparaliżować i ukrócić.

Przed „działaczami" tego rodzaju, wojującymi jaskrawymi frazesami, narzucającymi się i wciskającymi się wszędzie oraz głośniej od innych (a dlaczego dzwon jest głośny wiadomo) krzyczącymi, — nigdy niedość jest przestrzegać nasze społeczeństwo.

Tych grabarzy najlepszych idei i najświetniejszych nieraz pomysłów strzeżmy się i unikajmy, a przedewszystkiem nie bądźmy łatwowierni, nie idźmy ślepo za nimi, niewierzmy im. Albowiem nie rzadko przytem jeszcze są to — wilki w owczej skórze, na usługach obcych nam i wrogich nieraz, niestety, dążeń, zadań i idei będący.

Bądźmy zatem ostrożni!

Franciszek Gliński.

„POLITYK".

Szkic z natury.

Tęgi chłop, — ubrany jak ciarach. — Wysoki jak dzwonnica, zdrów jak rydz, — mówca nie od parady — i polityk zapalony!

Mówiąc, pluł naokoło siebie na wszystkie strony. — Po utarciu nosa, wycierał w chustkę... palce i — plewat! na wsio! — Ale polityka przedewszystkiem!

— No! — Co? — Tak pan uważa? — pytał spotkanego, — czy autonomia będzie?

— Ha! — Może i będzie, — odpowiadał zagabnięty.

Polityk ciągnął dalej.

— W kurtularnych krajach, het, precz! już dawno dali autonomię! — A u nas co? — Funt wieprzowego sadła kosztuje 20 kopiejek, a jajko — 12 groszy! — Kura, takich jajek, — (aby była zdrowa), — nasypie kopę, albo i więcej, — a funt sadła, czy to on wyrośnie? — czy to on na drożdżach? — czy co takiego?

— Czy to tak powinno być? — I jak tu dopiero żyć biednemu człowiekowi? — konkludował,

— Albo znowu, te katolickie dzieci? — Namnożyło się ich jak bobu, a mrą jak kociaki z głodu! — No... bo chleba nie mają. — A czy kto o tem pamięta? — Każden mądry, ale tylko dla siebie! Gdzie jest jaki grosz, to go ani złowić! — Żydy go rwą do siebie, — katoliki do siebie — a w kieszeni płótno!

— Dobrze jeszcze ponieważ teraz odliga, — a to jak byłby ciągiem mróz, tak jak w Astrachaniu, — to wszyscy ludzie pouciekaliby do Brazylii!

— A ktoby wtedy pracował na monopolię? — Im także trzeba żyć! Tu, znakiem, egrborporyacia, z rebolberem w ręku, — tam niedoczot, — albo nieurodzaj, — a ty, — podawaj! Bo jakże naród będzie bez wódki? —

— Niech pan o tem wszystkiem zdegraduje do gazet hartykuł. —

— A... ot, co! — Jeszcze niech pan zakonotuje: iż jedna kobieta powiła trojaczki...

— Ot, co się u nas wyrabia, proszę pana! — A żeby to była antonomia? — He! — he! —

Tak się wyładowawszy, ruszał dalej. — Spotykał innego, — i znowu: polityka.

Wtem, na „polityka" idzie drugi — „polityk".

— Ci pan wie, że Japoński Cisarz, przeszedł cichaczem, na naszą wiarę? — mówi tajemniczo.

— A ty zkąd wiesz o tem? —

— Gadajom tak.

— Ty nic nie wierz temu, co gadają, bo to wszystko plotki! — Ot, jak antonomia będzie, — to dopiero cała prawda wyjdzie na wierzch! —

A sam tymczasem rusza dalej i bębni — i na prawo i na lewo:

— Wie pan co się stało?

— Cała Japonia przeszła na katolicyzm! Ale co z tego? — Jak antonomii nie dadzą, — to... wsio propało!

G. Jóźwikiewicz.

RYŻY.

Franek Walenda był zgrabnym, rosłym i wcale przystojnym z gęby chłopakiem, ale że natura obdarzyła go ryżą czupryną, we wsi przy każdej niemal sposobności nie szczędzono mu złośliwych uwag i docinków.

W rodzinie nazywano go po imieniu, we wsi — ryżym.

Często gdzieś z ukrycia wołano za nim:

— Hej, na łbie ci się pali!... Leć prędzej do rzeki!...

Biedny chłopak będąc łagodnego charakteru, wobec ludzi wszystko to z wielką cierpliwością znosił, lecz często w samotności łzy gorzkie ronił.

A że dziewczęta przy każdem spotkaniu się z nim, zwłaszcza podczas liczniejszych zebrań, chichocąc i znacząco przemigując się, starannie stroniły od niego.

Razu jednego, jakoś przy niedzieli, pod wpływem naigrawań się z niego wiejskiej młodzieży: opanowały go smutne, miejscami bardzo grzeszne myśli.

— Przeklęte życie!

Albo uciekać ze wsi, gdzie oczy poniosą, albo... pozbawić się życia. Lepsza śmierć, niż taka męczarnia! Zawsze i wszędzie tylko i słyszysz:

— Ryży!...

— Fałszywy jak lis!...

— Chytry!

— Ostrożnie z nim!...

A co ja komu kiedy złego zrobiłem?

Stasiek Jędrzejczak co wyrabia! Bezbożnik karciarz, oszust, ale, że ma łeb czarny — wszystko mu jakoś uchodzi, Antek Zawada, pijak, zawadyaka, nikomu słowa dobrego nie da, ale, że łeb płowy — nie napastują go tak. I dziewczęta chętnie do nich zęby szczerza, przymilają się. Ze mnie jednego tylko wyśmiewają się, uciekają odemnie.

Jedna tylko Zośka... Ta nie gardzi mną i zawsze miłe, dobre słówko ma dla mnie. Dobra, serdeczna dziewczyna!

I tak mi się wydaje, że gdybym chciał ją za żonę, zgodziłaby się zostać moją...—Zgnębiony na duchu, chmurny, chyłkiem poza płotami jął się skradać ku zagrodzie Grzesiaków.

— Żeby choć spojrzeć na nią... słóweczko łaskawe od niej usłyszeć...

Zalany promieniami wiosennego słońca, zielenił się wspaniale, złocił, srebrzył gęstem, puszystem kwieciem, starannie utrzymywany sadek Grzesiaków. Chłopak przystanął u płotu i z silnie bijącem sercem patrzył i nasłuchiwał.

— Może się pokaże gdzie...

Mignęła poprzez zarośla czerwona chustka, zgrabnie zawiązana na głowie młodej, wiotkiej dziewczyny; skrzypnął przeciągle żóraw studniany...

— Ona... po wodę idzie... — Zosia! Zochna! Nie słyszy. Bodaj te ptaki, drą się jakby im za to kto płacił!... Zochna! Zochna!

Dziewczyna nagle wyprostowała się u studni i pilnie nadstawiła ucha.

— Zochna!...

W figlarnych podskokach, szybko, zwinna jak sarna, przebyła przestrzeń dzieląca ją od chłopaka.

— Franek!...

Obejrzała się bojaźliwie dokoła.

— Przyszedłem, bo mi bardzo ciężko na sercu... Chyba już umrę z wielkiej żałości!...

Dziewczyna pytająco, trwożliwie spojrzała na chłopaka,

— Mów... mów!... Co ci...

I zaczęły się wielkie skargi na ludzką złość, na okrutnie trapiącą go żałość, na nielitościwą naturę, która obdarzyła go ryżymi włosami — chociaż tatulo i matula ciemne mają. A! żeby nie ten ryży łeb, wszystko byłoby inaczej! Wszelką ryżą żywinę, kota, psa, zostawiają w spokoju — z człowieka wyśmiewają się!

Chyba uciekać stąd gdzie na kraj świata, utopić się czy co...

W wielkich, modrych oczach dziewczyny zakręciły się łzy, usta jej kurczowo drzeć poczęły.

— Uciekać?... Utopić się?... Franku, co ty wyplatujesz! Ty się chyba Boga nie boisz?...

A niechaj ich, niech gadają! Nie zważaj. — Ryży... ryży... Co oni? — Raptownym ruchem zerwała chłopakowi kapelusz z głowy.

— Co oni od ciebie chcą? Tobie tak pięknie w tych złocistych kędziorach!... Zaczęła pieszczotliwie gładzić go po głowie.

— Żebyś ty chciała zostać moją... — nieśmiało wybąknął — lżej było cierpieć... Inaczej wypadnie nam pożegnać się n wieki. Bo we wsi nijak dłużej nie wytrzymam. Nijak!

— Twoją?... Ja... ja... O Boże! Ale co powiędzą ua to ojcowie?...

— Powiedz im, że cię strasznie miłuję... że mam dwieście rubli, co mi nieboszczka babka zoztawili. Jestem jedynak i do wojska nie pójdę.

Zośka zamyśliła się na chwilę.

— Sprobuję. — W drugą niedzielą, o tej porze bądź tu. Powiem. — Włożywszy chłopakowi kapelusz na głowę, pobiegła do studni.

* * *

Następna niedziela przyniosła Frankowi straszne rozczarowanie. Zosia, opuściwszy oczy, mnąc w ręku fartuszek, drżąca cała, oznajmiła mu, że ojcowie o ich pobraniu się ani nawet słyszeć nie chcą.

— Ryży! — wykrzyknął ojciec — i do tego syn biednych gospodarzy. — Ty masz zamożnych rodziców.

Jak cię kiedy przydybię z nim, to... Toż już ludzie zaczynają mówić po wsi o częstych waszych spotykaniach się po różnych kątach!... — Pogroził jej pięścią i cały tydzień chodzi milczący i zły.

Franek się strasznie w twarzy zmienił.

— Ginąć mi, czy... — jęknął.

— Słuchaj, Zosiu, jedyna ty moja... słuchaj...

Z podwórza doniosły się wołania matki.

— Zośka! Zośka!

Rozstali się bez uścisku, bez słówka pożegnania; w ostatniej chwili nie mieli nawet czasu spojrzeć na siebie.

A jej się tak chciało choć wzrokiem coś mu jeszcze powiedzieć!...

Biegła do chaty z ręką na sercu, które z wielkiej żałości omało nie wyskoczyło jej z piersi.

Gdzieś w głębi sadu zaczęła kukać kukułka:

— Ku-ku!... Ku-ku!... Ku-ku!...

Co mogło oznaczać to kukanie? Dobrą wróżbę, czy naigrawanie się z miłującej się pary?

* * *

W parę dni potem smutnem spotkaniu się Franka z Zosią, po wsi rozeszła się wieść, że „ryży" nagle zginął gdzieś. Ciekawsi i natrętniejsi probowali zasięgać szczegółowych objaśnień wprost u Walendów, który na wszelkie pytania jedno i to samo wszystkim mówili:

— W poniedziałek o świcie, jak wyszedł z chaty, tak i przepadł.

— Ha, zajadła go wioska i tyla. Ciągiem jeno ryży i ryży... taki owaki... Kto by to mógł wytrzymać! Zgubili nas, na stare lata zostawili bez pomocy.

Niech im Pan Bóg za to zapłaci!

Mijały tygodnie, miesiące, lata... o Franku żadnej wiadomości nie było. — Jak kamień w wodę! Pogadali ludziska pogadali i wreszcie prawie zapomnieli o „ryżym".

Jedna tylko Zosia stale zachowywała go w pamięci. Stawała się coraz smutniejsza i ku wielkiemu utrapieniu rodziców, stanowczo odrzucała jednego po drugim, starających się o nią wiejskich młodzieńców.

— Mam jeszcze czas — mówiła do rodziców — pozwólcie mi wybrać takiego, który mi prawdziwie do serca przypadnie.

Stary Grzesiak, strasznie się sierdził na córkę, wydziwiał nad nią, wygrażał jej, nawet szturchańcami obdarzał, co zwykle wywoływało przykre nieporozumienia między nim i żoną, kończące się najczęściej wycieczką starego na wieś — między ludzi, żeby choć na chwilę tej staraj czarownicy i młodej gadziny nie widzieć i nie słyszeć.

Wracał zwykle ze wsi nieco uspokojony, lecz zawsze milczący i zpodełba patrzący.

Wieczorem mówił pacierz i kładł się spać, nie przemówiwszy do nikogo słóweczka.

Pewnego wieczora, zamąconego kłótnią małżeńską, Grzesiak poszedł na wieś, bawił tam parę godzin i, ku wielkiemu zdziwieniu żony i córki powrócił w niezwykle wesołem usposobieniu.

— A zgadnijta wy — zawołał — rzucając czapkę na stół jakiego to gościa mamy we wsi. Chyba nie zgadnieta...

A toż zjawił się ry... Te!... Franek! Oho, pedam wam, taki galanty... A złoto i srebro aż kapie z psiajuchy!...

Toż on w Ameryce był! Ludzie bają, że sporo grosza przywiózł ze sobą. Złote pieniądze, po 50 rubli każdy, sam na własne oczy widziałem... Takie wielkie, jak nieprzymierzając, u nas srebrne ruble! Ale cięższe. Oho, ma ich sporo! Jutro obiecał być u nas... obiecał...

Widzisz ty! — zawołała Grzesiakowa — Widzisz ty!

— Zmienił się, trudno go poznać — ciągnął stary. Najpierw... Ale, dla ciekawości waszej więcej nic nie powiem. Zobaczycie go jutro. Poskrobał się za uchem.

— Ot, żeby tak teraz Zośka chciała go za męża i żeby on Zośkę chiał... ha, niechajby...

— Kupa ludzi w chacie u Walendów. A dziwują się mu a kłaniają: a chwalą, a obmacują...

— Zośka — zwrócił się do córki — bez żartów, chciałabyś go?... No, mów że!

Zośka pokraśniała jak wiśnia, usiadła przy oknie i zaczęła mrugać oczami.

Z wielkiego wzruszenia oddychała z ciężkością i głosu wydać ze siebie nie mogła.

— Dawajta wieczerzę i spać! rzekł stary.

— Jutro się zobaczy.

Grzesiak spał doskonale: śniły mu się góry złota, srebra i pieniędzy papierowych. — Grzesiakowa miała sny męczące jakieś bardzo niewyraźne. Budziła się co chwila, żegnała się co chwila, żegnała się i wzdychała. Myślała o nim... o miłym Jak on wygląda i czy po dawnemu ją miłuje.... I co to jutro będzie?

* * *

Nazajutrz, w oczekiwaniu upragnionego gościa, Zosia ubrała się czyściutko, wdzięcznie, skromnie. We włosy wpięła polną różę. Chociaż przybladła nieco, lecz wyglądała prześlicznie. Tak, że choć odmalować dziewczynę! Grzesiakowie z niecierpliwością oczekują przybycia Franka.

— Słonko zaraz zajdzie, a jego jeszcze niema... mówi jakby z żalem w głosie Grzesiakowa. Może wcale nie przyjdzie?...

— Obiecał... Jutro, peda, święto i koniecznie u was będę, pod wieczór — uspakaja żonę Grzesiak.

— O, lekki na wspomnienie!... Idzie!

Po chwili w chacie zjawił się Franek, na widok którego matka i córka osłupiały ze zdumienia. Nawet na razie nie były wstanie oppowiedzieć na pozdrowienie.

— Jakiż to Franek? To chyba podrobiony!...

Pośrodku izby stał rosły, barczysty mężczyzna z czarnemi zgrabnie podkręconemi wąsikami, czarną dość krótko ostrzyżoną i gładko przyczesaną czupryną. Ubrany był z miejska, w jasny marynarkowy garnitur. Prasowana biała koszula ze stojącym kołnierzykiem, niebieski krawat i starannie wypucowane, dziwaczne jakieś, z szerokiemi, do góry podniesionemi nosami, kamasze dopełniały stroju. Na kamizelce u gościa, zwieszała się gruba, długa, srebrna dewizka od zegarka; palce u prawej ręki zdobiło kilka złotych pierścionków. Pierwsza wyszła z osłupienia Grzesiakowa.

— A, na wieki wieków! O la Boga! Czy to może być Franek?

— To nie Franek, a pan Franciszek... — zawołał wesoło Grzesiak.

— No, siadaj... Siadajcież... Matka! a ruszaj że się! Trza przecież ugościć amerykana.

Amerykan, — skrzypiąc kamaszami zbliżył się do Zosi.

— Nie poznajesz mnie, Zosiu? — zapytał czule, wyciągając ku niej rękę.

Powolnym ruchem, dziewczyna podała mu swoją pod wrażeniem chwili jakby odrętwiałą.

— Po oczach, po głosie, zdaje się że Franek — po wszystkiem innem, ktoś zupełnie obcy...

— Kilka lat między obcymi byłem, zmieniłem się powierzchownie. Sercem, duszą jestem ten sam.

— Ale te włosy! — dziwiła się Grzesiakowa.

— No, widzisz — objaśnił żartobliwie gospodarz, — w kopalniach węgla pracował... Nie dziw.

Zasiedli do wieczerzy. Gość opowiadał co go zmusiło uciekać do Ameryki, z jaką boleścią serca opuszczał rodzinne strony, ukochaną wioskę swoją, rodziców, jeszcze kogoś... (tu znacząco spojrzał na Zosię). Mówił jak mu zawsze obco było w Ameryce, jak tęsknił do swoich, jak ciężko, przeważnie z narażeniem własnego życia, musiał pracować, to w kopalniach węgla, to po różnych fabrykach, to przy budowie olbrzymich gmachów. Jak oszczędzał grosz, żeby nie powrócić do domu z próżnemi rękami. Jak mu boleśnie było patrzeć ciągle na całe zastępy rodaków, walczących z nędzą z powodu braku pracy, nadwątlonego zdrowia, częstokroć obłąkanych z tęsknoty za krajem; na wielu umierających na obczyźnie, gdzie nieraz w ostatnią godzinę łaskawego nie usłyszeć słowa, — bez wszelkiej pociechy religijnej, bez spowiedzi i sakramentów świętych.

Jednemu na setki całe — zakończył rozrzewniony — uda się grosiwa trochę uciułać — reszta ginie marnie, nie mając za co do rodzinnego powrócić kraju.

Kiedy już byłem na rodzinnej ziemi, myślałem że oszaleję z radości. Całowałem kamienie, ziemię, zalewając się łzami. Chciało mi się całować każdego po drodze spotkanego człowieka!

Grzesiak strasznie się rozczulił i mając już trochę w głowie, nadstawiał do całowania Frankowi, swoją szeroką, ogorzałą twarz, wołając:

— Całuj! całuj! No, jeszcze! Całuj moją babę... Śmiało! Całuj Zośkę! A, nie! Tego nie wolno! — bo Pan Bóg by się za to na nas wszystkich zagniewał! A, niewolno! Żebyś był jej mężem, ha, to co innego... A tak, Pan Bóg by się na nas za-gnie-wał... Oho...

— Dajcie mi Zosię za żonę... — Skorzystał z czasu Franek. — Strasznie miłuję ją... Mam zdrowie, lubię pracować, grosza sporo przywiozłem...

— Dać ci ją? Albo ja wiem?... Matka, cóż ty na to?... Zośka, cóż ty na to?... Hę?

Grzesiakowa uśmiechała się i milczała. Zosia, odwróciła głowę od gościa i milczała. Franek nachylił się jej do ucha, za rękę ją ujął.

— Zosia, odezwij że się. Miłowałem cię i miłuję. Mając ciebie ciągle w myślach, pracowałem w Ameryce za czterech. Dla ciebie!... A tak mi się zawsze czuło, że czekać będziesz na mnie, że wiedziałaś, iż wrócę. Otóż jestem i proszę cię, bądź moją!...

— O, Boże! Wyście mi teraz taki obcy jakiś... Boję się was czegoś... Wyście...

— Dla czego nie nazywasz mnie po imieniu jak dawniej?

— Tak mi coś straszno... Wyście nie ten co dawniej...

I raptem zapytała go:

— Cóż tu zrobiliście z waszemi włosami?

— Przed wyjazdem do kraju kazałem ufarbować na ciemno.

— Na co to, na co?

— Bałem się szyderstwa ludzkiego. Tyle tu wycierpiałem. Musiałem uciekać.

— I włosy na zawsze tak zostaną?

— Na zawsze. Mam taką farbę.

— I zawsze tak po pańsku będziecie się ubierać?

— Zapewne. — Miłujesz mnie, Zosiu... Będziesz moją.

— Nie!

Wyrwała mu się i wybiegła z izby.

Franek zbladł, usta zaciął. Na chwilę zakrył twarz dłońmi.

— Głupia dziewka, trudną ją wyrozumieć. I co ona sobie myśli? — rzekł Grzesiak.

— Siłować jej nie można — odezwała się Grzesiakowa.

„Amerykan“ posiedział jeszcze trochę, powzdychał i widząc, że Zozia nie pokazuje się, podziękowawszy za gościnę Grzesiakom, wyszedł.

* * *

Na drugi dzień po owych nieudanych odwiedzinach Franka u Grzesiaków, wszystkich, przychodzącyych do Walendów, dla zobaczenia „amerykana“, spotykał zawód.

— E... syna już niema...

— Jakto niema? A gdzie jest?

— A, dajta nam spokój! My i sami nie wiemy... Może do Warszawy pojechał, a może znowuż do Ameryki... Mówił, że na wsi siedzieć nie będzie.

Pokręciwszy głowami wychodzili.

— No, no.,. To ci Franek!...,

Dowiedziawszy się o opuszczeniu przez Franka wsi, Zosia wpadła w głęboką zadumę.

Może i źle zrobiła, że tak pospiesznie odrzuciła chłopaka Trzeba może było wykręcić się ni tem, ni owem, do czasu. Możeby się co w niej zmieniło.

Dziwiła się sama sobie, żeby tak silnie na nią podziałać mogła zmiana powierzchowności tego, którego gorąco ukochała, o którym nieustannie myślała i śniła często. Gdy ojciec powiedział, że Franek zjawił się we wsi i jutro u nich, będzie serce zadrżało jej z wielkiej radości i nie mogła doczekać chwili, w której ujrzeć go będzie mogła.

Nadeszła upragniona dla niej chwila, Franek już przy niej — i od pierwszego spojrzenia na niego ubranego po pańsku, z ufarbowanemi włosami, skrzypiącego swemi lśniącemi kamaszami, nagle coś jakby oberwało się jej w piersiach, zdjął ją lęk, ogarnęła żałość nieznośna i ledwie utrzymać się mogła, żeby nie wybuchnąć głośnym płaczem.

Litowała się nad nim, kiedy opowiadał o swem życiu w Ameryce, radowała się jego radością z powodu szczęśliwego powrotu do kraju, podziwiała jego wymowę, powagę, ale gdy nadeszła stanowcza chwila, kiedy ująwszy ją za rękę, przyciszonym głosem spytał;

— Będziesz—moją? uczuła, że wielka jakaś przepaść dzieli i że żoną jego być nie może. Wyrzekłszy „nie“! wybiegła z izby.

Drżąca cała, tonąca we łzach, zwróciła oczy ku niebu i błagała Boga, żeby zesłał uspokojenie strwożonemu, zranionemu, biednemu jej sercu.

Pojechał! et, niech mu Pan Bóg wszystko dobre daje, gdzie tylko się nie obróci. Nie sądzonem nam snać było być mężem i żoną!

* * *

Mijały tygodnie, miesiące... o Franku żadnej wiadomości nie było. Od rodziców, których niektórzy podejrzewali o złą skrytość, niczego nie można się było dopytać.

— Nic o nim nie wiemy, nie pisze... — było jedyną ich odpowiedzią, dawaną każdemu.

Zajęci własnemi sprawami ludziska, znowuż zapomnieli o Franku, jednej tylko Zosi nie wychodził on z pamięci.

Miłowanie wielkie minęło u niej, jak ręką zdjął; wszystko między niemi skończone na wieki — lecz czemuż myśli o nim nie opuszczają ani na chwilę? Czemuż z piersi jej często wydobywają się głębokie westchnienia, a oczy łzami zachodzą? W żaden sposób nie umie sobie tego wytłumaczyć, w żaden sposób nie może się tego pozbyć. Coś się w niej dwoi, wyrzutem się odzywa, coś mówi jej, że jeżeli tak dalej pójdzie, Bóg wie co z tego wyjść może.

Myśli i lęka się, myśli i modli się o Boże zmiłowanie nad nią. Pewnego wieczora, gdy ojcowie poszli do obory, stanęła przy kominie i myśli:

— Dziesięć miesięcy jak go już niema... Gdzie też przebywa i co się z nim dzieje?...

A może się już ożenił?... Ścisnęło ją coś za serce.

Stoi nieboga, skrzyżowała na piersiach zakasane za łokieć ręce i myśli.

Drzwi skrzypnęły — nie słyszy.

W tem — uchwycił ją ktoś za głowę i zacisnął rękami oczy.

— Dla Boga! Kto to? — Trzeba zgadywać.

— Kasia!...

Milczenie.

— Jagusia!...

Milczenie.

— Agata!... A no, puść, bo wszystko jedno nie zgadnę.

— A Ku-ku!...

Zosia odwróciła się i jak nie krzyknie:

— Franek!

Franek stał przed nią — ryży i w chłopskim przyodziewku.

Drżąca jak listek, przypadła do jego szerokiej piersi

Drży i tuli głowę. Jak dziecko rozżalone do serca matki.

Drzwi — skrzyyyp...

Wchodzą ojcowie z latarką.

Chłopak i dziewczyna odskoczyli od siebie.

— A to co znowu!... wykrzyknął Grzesiak.

— O Matko Najświętsza! — zawołała Grzesiakowa — Widzieliśta?...

Pokiwali, pokręcili głowami.

— Widzisz ją, jaka...

No, no... A i on... — Skądżeś się wziął?

— Chowałem się nie bardzo daleko stąd, w jednem majątku, żeby mi po ostrzyżeniu do skóry, na nowo na łbie włosy odrosły, jakie dawniej były. Pracowałem we dworze.

Grzesiak latarkę do góry podniósł, że izbę płomień na kominie tylko oświecał.

— Z pana znowuż przerobił się na chłopa... W sukmanie, butach... I włosy po dawnemu! Aż miło spojrzeć!

— Inaczejbym jej nie dostał! — wyrzekł Franek. Oczy mu zabłysły, trząchnął swoją bujną czupryną.

— A wiecie, tak mi teraz swobodnie, raźno w sukmanie! Do śmierci jej nie zrzucę! Jak i tej naszej, świętej ziemi — karmicielki nie porzucę do śmierci!

Pracować na nią, miłować ją i szanować będę!

Tak mi Panie Boże dopomóż!

A Zosia; wpatrując się we Franka jak w obraz, co chwila powtarzała:

— Mój!... mój!...

— Mój!.. mój!... przedrzeźniał ją ojciec. — Nie pytając nikogo, zrobili zrękowiny!

A gdzie pozwolenie tatula i matuli? — Hę?

Franek i Zośka — buch ojcom do nóg.

Stary zakreślił nad niemi znak krzyża świętego.

— A niech was Pan Bóg błogosławi!

Matka w płacz.

— Czego? Nie becz matka.

A wy... tego... W niedzielę trza na zapowiedzi dać!

Henryk Noskiewicz.

Wilk w owczej skórze.

(B a j k a).

W tęgie mrozy,
Owce i kozy,
(A z temi, nie ma co żartować),
Chcąc się zabawić i ucywilizować,

Raut w owczarni urządziły
I sprosiły
Gości, —
Ale tylko same znakomitości!

„Salon" naprędce urządziły z biédą
I czekają. — Aż oto idą:
Lis, czerwoniutki, grzeczny, układny,
Zajączek trusia, — ale bardzo ładny,

Jałowice, —
Dwie kozice,
I, żonaty,
Cap rogaty.

Owieczki siadają. Ta, na zydlu, — ta na kanapie,
Każda główką potrząsa, w nosek się drapie
A słucha uważnie!
Lis mowę swoją zaczyna odważnie,

Iż, gdy do postępu dziś każden się garnie,
Niesposób siedzieć owcom w owczarni!
Trzeba iść naprzód! — Wyłazić z tradycyi odmętu
Pchać się: do nauk, do sławy, — do parlamentu
Nawet! (Tam, też owce potrzebne).
Stajenne zrzucić więzy haniebne,
Co ztąd wynika:
Nie bać się rzeźnika
I być wolnemi! — Tu, owczy ród cały
W bek! — (Tak się im te słowa spodobały
Więc tupią z radości nóżkami... Klaskać
nie umiały jeszcze)
Wtem, strachu porywają ich dreszcze;
Niespodziewanie i wbrew naturze
Wilk w owczej skórze,
Na owce napada, skórę zdziera
I żywcem pożera.

Nim zawołali stójkowego, weterynarza,
Wilk się wyniósł z owczarni
I uciekł bezkarnie,
(Tak to i u nas czasem się zdarza).

* * *

O sens tej bajki, nie ma co się pytać!
Jak się owieczki nauczą czytać
I tę bajeczkę przeczytają,
Na wilkach w owczej skórze, same się poznają.

Gustaw Jóźwikiewicz.

Czytelniku!

Kiedy pierwszy raz spędzałem Święta Wielkanocne w Białymstoku, to byłem świadkiem, jak liczni katolicy kupowali przy kościele jednodniówki świąteczne, nadesłane przeważnie z Warszawy.

Przekonałem się wówczas, że wśród nas istnieje niemałe zainteresowanie się drukowanem słowem, co powiem, słyszałem nawet wyrzekania na brak własnej gazety.

I prawda. Nas katolików parafji Białostockiej prawie 32,000. Na dobre warunki, mielibyśmy już niejedną gazetę. W Szwajcaryi naprzykład miasto Fryburg, liczące 20,000 mieszkańców posiada uniwersytet, wyższą szkołę żeńską, 2 gimnazya, 2 pensyonaty. Ale nam jeszcze do tego zadaleko. Nawet zwykłe czasopismo, wątpię, czy miałoby powodzenie. Spełniając jednak własne i wielu osób życzenie, wydaję pierwszą świąteczną jednodniówkę; będzie ona próbą i zachętą.

Na treść jej złożyły się miejscowe siły, które chętnie i licznie pośpieszyły z pomocą, tak, że wszystkiego teraz zużytkować nie mogłem. Niech więc, kochany czytelniku, słowa tej jednodniówki, zwiastując Ci radość Zmartwychwstania, będą Ci zarazem dzieleniem się myślą ze swoimi.

X.

Redaktor i wydawca: Ks. Aleksander Chodyko z Białegostoku. Tłocznia „Polaka-Katolika", Warszawa, Trębacka 11.